

## **W stronę Novus Ordo Mundi – w świecie polityki, finansów i biznesu**

Ostatnie dekady XIX wieku przyniosły w USA tzw. wiek połączony (c. 1870 – 1900) i w jego ramach dynamiczny rozwój wielkiego biznesu, kontynuowany podczas tzw. ery postępowej (c. 1890 – 1920). Jednym z fundamentów owego rozwoju było na ów czas bezprecedensowe związanie tegoż biznesu i coraz potężniejszych banków z klasą polityczną. O pierwszeństwo na polu biznesu i bankowości rywalizowały rodziny Morganów i Rockefellerów, wspomagając się swoimi biznesowymi koalicjantami. John Pierpont Morgan i John Davison Rockefeller zwalczali się bez pardonu w sferze biznesu, przeszkadzając sobie w budowaniu coraz potężniejszych karteli i trustów, mających zniszczyć mały i średni biznes. Ale współpracowali w dziele stworzenia bankowego giganta w postaci Banku Centralnego, który został utworzony w 1913 roku. W świecie wielkiej polityki aż do prezydentury Franklina Delano Roosevelta (1933 – 1945), więcej do powiedzenia miał dom Morganów (F. D. Roosevelt był mocno związany z kręgami biznesowymi J. D. Rockefellera, ale też z rekinem biznesu Josephem P. Kennedym, rodziną Gianninich z Kalifornijskiego Banku Ameryki i mormońskimi bankierami z Utah). Ludzie Morganów byli w najbliższym otoczeniu prawie każdego prezydenta od początku ery postępowej (wcześniej, z Morganami był związany prezydent Grover Cleveland i to J. Pierpont Morgan zorganizował wsparcie finansistów dla Williama McKinleya w wyborach prezydenckich w latach 1896 i 1900). Największy z prezydentów ery postępowej, Theodore Roosevelt (1901 – 1909), owocnie współpracował – choć ich cele wydawały się stać na antypodach – z samym J. P. Morganem. Tak powstawał nowy ład łączący w sposób systemowy i uporządkowany wielką politykę, finanse państwa i wielki biznes.

Co najmniej od początku ery postępowej Stany Zjednoczone doświadczały państwowej centralizacji i dążenia do państwowej regulacji na polu ekonomicznym, takiej jednak, która nie zagroziłaby wielkiemu biznesowi. Strażnikiem stabilnego wzrostu ekonomicznego, minimalizacji bezrobocia oraz stabilności systemu finansowego, w tej ostatniej kwestii nie mającego nad sobą żadnej kontroli, stał się Bank Centralny (Rezerwa Federalna). Okresem, który przyniósł państwową ingerencję w gospodarkę i społeczeństwo na nieznaną wcześniej skalę był oczywiście tzw. New Deal prezydenta Franklina Delano Roosevelta (jest inną sprawą, że nie rozwiązał on ekonomicznych kłopotów Ameryki zapoczątkowanych wielkim kryzysem z lat 1929 – 1933 i dopiero niezwykła mobilizacja narodu w okresie II wojny światowej oraz odpowiednie pokierowanie przez państwo całą machiną wojenno-przemysłową umożliwiło Ameryce rozkwit po 1945 roku).

Warto tu odnotować, że koncepcja Banku Centralnego została opracowana w wielkiej tajemnicy przez przedstawicieli największych istniejących banków (klanów J. P. Morgana, J. D. Rockefellera oraz Rothschildów), urzędnika Departamentu Stanu i zwiazanego z Rockefellerem senatora Nelsona W. Aldricha, który był organizatorem ich tajnego tygodniowego spotkania w klubie Jekyll Island na wyspie Jekyll (wszyscy zameldowali się w klubie pod fałszywymi nazwiskami). Bogacze nie cieszyli się zaufaniem społeczeństwa, bogactwo drażniło, Wall Street była znieawidzona. Naród nie chciał ani trustów, ani Banku Centralnego. Niezbędne było więc stworzenie w kraju klimatu sprzyjającego nowej, bankierskiej inicjatywie. Potrzebne było stworzenie ośrodków opiniotwórczych, które społeczeństwo uzna za godne zaufania, a ich argumenty za nowym ładem ekonomicznym i społecznym za przekonujące. Tymczasem w końcu XIX wieku amerykańskie uczelnie nie nadawały jeszcze doktoratów. Najzdolniejsi jechali

zatem po doktoraty do etatystycznych Niemiec – ojczyzny państwowego socjalizmu. I przywieziona przez nich fascynacja niemieckim ustrojem doskonale na tę potrzebę odpowiedziała.

Dobrze zorganizowane rządzenie państwem wymaga właściwie zorganizowanego zaplecza intelektualnego, dziś powiedzielibyśmy *think tanku*. Według prezydenta Woodrowa Wilsona i jego doradców, dobiegająca końca I wojna światowa stawiała przed Ameryką nowe i wielkie wyzwanie – szerzenia demokracji i wolności, utrzymania pokoju i powiększania dobrobytu na całym świecie. W 1918 roku około 150 naukowców stworzyło *think tank*, który przygotował Wilsonowi strategię pokojową dla świata po wojnie. Strategię tę przedstawiał prezydent Wilson na konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r. Wszakże w Ameryce odżył jej tradycyjny izolacjonizm i kraj nie zaakceptował wilsonowskiej demokratycznej i internacjonalistycznej (globalistycznej) krucjaty. Wspomniani politolodzy opowiadający się za wilsonowskim interwencjonizmem nie zaprzestali debat nad polityczną przyszłością USA, jakkolwiek chwilowo nie mając wpływu na rząd. Z inicjatywy prawnika korporacyjnego (współpracował z J. P. Morganem) i wówczas sekretarza stanu w rządzie Teodora Roosevelta, Elihu Roota, dołączyło do nich 108 liczących się reprezentantów finansjery i biznesu, zainteresowanych by polityczne koncepcje przyjęły pożądaną przez nich kształt. W roku 1921 doszło do formalnej rejestracji grupy jako *think tanku* pod nazwą *Council on Foreign Relations* (Rada ds. Stosunków Zagranicznych, CFR), doradzającego w sprawach polityki zagranicznej i stosunków międzynarodowych USA (od 1922 r. CFR wydaje słynny i wpływowy, dziś dwumiesięcznik, *Foreign Affairs*). Pod koniec lat 1930-tych CFR zaczął otrzymywać pokaźne dotacje od Fundacji Forda oraz Fundacji Rockefellera. David Rockefeller został członkiem CFR w 1941 roku i np. w latach 1950 – 1970 pełnił funkcję jednego z wiceprezydentów Rady.

W roku 1939 zaczęła się ścisła współpraca CFR z Departamentem Stanu. Opracowania powstające w CFR zaczynają wyznaczać najważniejsze kierunki polityki zagranicznej USA. W okresie II wojny światowej ważną rolę pełni w CFR Allen Dulles, późniejszy dyrektor CIA. Po wojnie członkowie CFR stanowili duży procent urzędników wysokiego szczebla zajmujących się sprawami zagranicznymi w administracjach kolejnych prezydentów: 42% za prezydenta Trumana, 40% za Eisenhowera, który sam był wcześniej członkiem CFR, 51% za J. F. Kennedy’ego, 57% za Johnsona. Wkrótce po wojnie to wybitny członek CFR, George Kennan, sformułował tzw. strategię powstrzymania Związku Sowieckiego przez USA.

Lista wybitnych lub najważniejszych osobistości amerykańskiej polityki, finansów, politologii i dziennikarstwa, którzy byli albo są członkami CFR, w niektórych przypadkach należeli do jej władz jest bardzo długa i zawiera między innymi takie nazwiska: Walter Lippmann, Henry Kissinger, Zbigniew Brzeziński, Paul Volcker, George H.W. Bush, George Schultz, Alan Greenspan, Jeane Kirkpatrick, Harold Brown, George Soros, Leslie Gelb, Madaleine Albright, Joseph Nye, Richard Cheney, Richard Holbrooke, Paul Wolfowitz, Michael Hayden, Stephen Hadley, Strobe Talbott, John Bolton, Elliott Abrams, Richard Haas, David Petraeus, Douglas Feith, John Paulson, Fareed Zakaria. Członkami CFR byli zatem późniejsi dwaj prezydenci USA, szefowie Rezerwy Federalnej, sekretarze stanu, dyrektorzy CIA i Narodowej Rady Bezpieczeństwa, doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa, ambasadorowie USA w ONZ itd.

Z tego co napisałem wynika, że członkowie CFR nie tylko należeli i należą do elity władzy w Ameryce, ale że od 1945 roku stanowią istotne zaplecze dla kadry zajmującej się w państwie sprawami zagranicznymi. Dziś CFR liczy sobie ponad 5000 członków, p.:

<https://www.cfr.org/membership/individual-membership>

oraz

<https://www.cfr.org/membership/roster>

Hillary Clinton, wówczas sekretarz stanu w administracji Baracka Obamy, tak mówiła w swoim adresie do CFR 15 lipca 2009:

*Jestem szczęśliwa mogąc być tutaj, w nowej siedzibie [CFR – przyp. JK]. Chyba byłam częstym gościem na pokładzie waszego statku-matki [pierwszej siedziby CFR] w Nowym Jorku, ale to dobrze mieć placówkę Rady właśnie tutaj, parę kroków od Departamentu Stanu. Otrzymujemy moc porad od Rady, a zatem nie będę już musiała daleko wędrować, by usłyszeć, co powinniśmy zrobić i jak myśleć o przyszłości.*

David Rockefeller utworzył w 1973 roku Komisję Trójstronną (*Trilateral Commission*, dalej TC) – prywatną organizację, której celem miała od początku być promocja współpracy między Ameryką Północną, Japonią i Europą. Ambicją TC jest m.in. współwyznaczanie agendy dla takich inicjatyw rządowych jak spotkania grupy G7. Od początku jej wybitnym członkiem był Zbigniew Brzeziński, którego politologiczne dzieło z 1970 roku, *Between Two Ages: America's Role in the Technotronic Era*, proponowało budowę nowego ładu światowego dobrze korespondującego z wizją twórcy Komisji. Wśród członków założycieli TC znaleźli się m.in. Alan Greenspan i Paul Volcker. Wśród jej członków znaleźli się np.: Henry Kissinger, Samuel Huntington, Joseph Nye, Henry Owen (Brookings Institution), David Petraeus, Jimmy Carter i Walter Mondale. Komisja liczy ponad 300 członków – prominentnych bankowców, biznesmanów, polityków, prawników, dziennikarzy z USA, Europy i Azji; p.:

<https://trilateral.org/download/files/TC-MEMBERSHIP-LIST-JANUARY-2020.pdf>

Jeśli chce się wymienić te prywatne grupy, które mają wpływ na politykę zagraniczną USA i jej aliantów, wpływają na wybór dalekosiężnej zachodniej strategii politycznej i gospodarczej oraz wpływają na obsadę najwyższych stanowisk w USA (i nie tylko), nie wolno pominąć Klubu Bilderberg (inaczej Grupy Bilderberg, ang. *Bilderberg Meetings*, dalej BM). Klub powstał w roku 1954 z inicjatywy Józefa Retingera, Bernharda księcia Niderlandów, Denisa Healeya i Davida Rockefellera, początkowo dla umocnienia współpracy USA z Europą. Kiedyś okrywający swoje działania wielką tajemnicą, dziś BM ma swoją stronę internetową:

<https://www.bilderbergmeetings.org/index.html>

Klub organizuje coroczne spotkania za zamkniętymi drzwiami, na każde z których jego Komitet Sterujący zaprasza ponad setkę gości – można rzec, jak zwykle, prominentnych polityków, w tym prezydentów i premierów, bankowców i przemysłowców. Zapewne niepełna lista osobistości, które dostały zaszczytu zaproszenia na jedno czy więcej spotkań BM jest imponująca; p.:

[https://en.wikipedia.org/wiki/List\\_of\\_Bilderberg\\_participants#United\\_States\\_2](https://en.wikipedia.org/wiki/List_of_Bilderberg_participants#United_States_2)

Polska strona Wikipedii wylicza więcej Polaków, którzy wzięli udział w spotkaniach BM:

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Grupa\\_Bilderberg#Udzia%C5%82\\_obywateli\\_Polski\\_w\\_spotkaniach](https://pl.wikipedia.org/wiki/Grupa_Bilderberg#Udzia%C5%82_obywateli_Polski_w_spotkaniach)

Komitet Sterujący BM liczy obecnie 32 osoby, z Polski jest wśród nich Radosław Sikorski, plus dwóch współprzewodniczących. Należy dodać koniecznie, że zapraszane bywają również osoby w danym czasie jeszcze nieznanne, które wkrótce potem posiadają najwyższe stanowiska. Nikomu wówczas nieznanemu Bill Clinton znalazł się na spotkaniu BM w roku 1991, zaś prezydentem został w 1993. Denis Healey zaprosił Margaret Thatcher na spotkanie BM w roku 1975,

ponownie zaproszona została w 1977 r., a premierostwo objęła w roku 1979. Healey, w rozmowie z dziennikarzem Jonem Ronsonem, tak komentował dwa z wymienionych zaproszeń – te z lat 1975 i 1991 – jak też opowiadał o tajemnicach działania BM:

<https://www.theguardian.com/books/2001/mar/10/extract1>

Powiedział, że nikt z biorących udział w spotkaniu w 1991 roku nie miał pojęcia, iż Bill Clinton zostanie dwa lata później wybrany na prezydenta USA. Nie wspomniał, że zapraszający go Vernon Jordan – zresztą też ciekawa postać i członek CFR, p. np.:

<https://www.belfercenter.org/person/vernon-jordan> – był jedną z najważniejszych osób w ekipie ubiegającego się o prezydenturę Billa Clintona. Margaret Thatcher odwiedziła BM jeszcze w roku 1986, ale jak twierdził James Tucker, zwany dziekanem dziennikarzy śledczych zajmujących się odkrywaniem tajemnic BM, Klub przyczynił się do ustąpienia premier Thatcher w roku 1990; p. np.: [https://en.wikipedia.org/wiki/Jim\\_Tucker\\_\(journalist\)](https://en.wikipedia.org/wiki/Jim_Tucker_(journalist))

Wiele osób, może zwłaszcza dzisiaj, w dobie widocznej utraty społecznego zaufania przez klasę polityczną, uznaje CFR, TC, BM za organizacje spiskowe. Amerykanie dodają do rzekomo spiskujących jeszcze takie stowarzyszenia jak *Bohemian Club* i *Skull and Bones*, które mają w swoich składach całe mnóstwo osób ze świecznika amerykańskiej władzy politycznej i finansowej. Niesłusznie. Po pierwsze, chociaż to mniej ważne, osoby te mają przecież prawo stanowić – i stanowią – dobrze określone środowisko, wzajemnie się rozumiejące i wspierające, spotykające się w swoim gronie. Zjednoczone Królestwo miało kiedyś zamknięte kluby gentlemanów, obecna amerykańska elita ma swoje *Bohemian Club* i *Skull and Bones*. I po drugie, co nieporównanie ważniejsze, dobrze funkcjonujące państwo musi mieć dobrze zorganizowane doradztwo polityczne i społeczno-ekonomiczne, dobrze zorganizowane kanały kooperacji do elity rządzącej państwem oraz dobrze zorganizowane zaplecze kadrowe.

Problem pojawia się wtedy, gdy to sprawnie funkcjonujące państwo – albo i niesprawnie mimo posiadania specjalnie wyszkolonych kadr – nie reprezentuje interesów poważnej części obywateli, albo gdy nie potrafi przekonać owej części, że działa także dla jej dobra.

Amerykańska elita władzy utraciła zaufanie zbyt wielu, by na prezydenta USA nie został wybrany w 2016 roku człowiek „spoza towarzystwa”. Szersze opisanie tego, jak bardzo różne są wizje Ameryki proponowane przez CFR, TC, BM z jednej i przez Donalda Trumpa z drugiej strony – niezależnie od tego na ile chaotyczne są działania Trumpa na arenie międzynarodowej – wymagałoby oddzielnego tekstu. Ale tu wystarczy powiedzieć, że fundamentem tej różnicy jest to, iż Donald Trump uznaje za punkt wyjścia naród i jego interes, podczas gdy polityczny establishment widzi swe cele jako ponadnarodowe. Establishment nie ma nic przeciwko wynarodowieniu Ameryki, wcale się zresztą nie kierując jakąś złą wolą.

Teodor Roosevelt i John P. Morgan mogli owocnie współpracować, ponieważ wbrew pozorom mieli wiele wspólnego. Pochodzili z tej samej klasy społecznej, łączył ich wiktoriański moralizm, ambicja przewodzenia krajowi oraz poczucie misji – chcieli zaprowadzenia w kraju ładu i dobrobytu. I tak oto postępowy prezydent, w zasadzie przeciwny trustom, w praktyce nie przeszkadzał wielkiemu finansistcie rozbudowywać jego trusty – dla dobrobytu wszystkich i fortuny finansisty. Napoleon Bonaparte miał rację mówiąc, że pieniądz nie ma ojczyzny, ale nawet sto lat po jego śmierci zysk amerykańskiego finansisty niósł dobro jego ojczyźnie. Było, minęło. Finansista może być Amerykaninem, ale nie jest już finansistą amerykańskim. Mamy globalną, niezwykle silnie usieciowioną ekonomię (teraz akurat ta sieć przeżywa i przeżywać będzie różne rekonfiguracje, zwłaszcza spowodowane uaktywnieniem się chińskiej potęgi, ale to pomińmy).

W 2011 roku doskonałą pracę opublikowali badacze ze słynnej Politechniki Federalnej w Zurychu (ETH), Stefania Vitali, James Glattfelder i Stefano Battiston, zatytułowaną *The network of global corporate control*. Dowiadujemy się z niej jak skomplikowana jest sieć udziałów we własności ponadnarodowych korporacji. Dowiadujemy się, że 767 największych posiadaczy udziałów w takich korporacjach, z których produktów i usług korzystamy bez przesady nieprzerwanie, sprawuje kontrolę nad 80% ogólnej wartości wszystkich tych korporacji (nie wchodzimy tu w złożone analizy, co dokładnie taka kontrola oznacza, jaki ma wpływ na zarządy firm itp.). Zaledwie 147 największych i mocno między sobą powiązanych właścicieli udziałów sprawuje kontrolę nad 40% ogólnej wartości wszystkich ponadnarodowych korporacji. Największymi wśród tych największych są w ogromnej większości korporacje z sektora finansów – m.in. brytyjski Barclay's, amerykańskie The Capital Group Companies Inc., State Street Corporation, JP Morgan Chase & Co. (John D. Rockefeller miał duże udziały w Chase National bank), The Vanguard Group Inc., Merrill Lynch and Co., Goldman Sachs Group Inc., Bank of New York Mellon, Bank of America Corporation, Morgan Stanley, niemiecki Deutsche Bank AG, szwajcarski Credit Suisse Group. Czy jest do pomyślenia, by taka korporacyjna elita nie miała wpływu na rządy?<sup>1</sup>

Przy takim poziomie koncentracji własności i zarazem usieciowienia oraz globalizacji biznesu i finansów trudno wymagać, by i polityka amerykańskiego rządu nie nabrała charakteru ponadnarodowego. Potrzebny jest rząd niejako ponadnarodowy, starający się zaprowadzić globalnie obowiązujący ład międzynarodowy bez oglądania się na preferencje obywateli USA. Oto pierwsze akapity z zakończenia wspomnianej już książki Zbigniewa Brzezińskiego z 1970 roku:

*Jakkolwiek kształtowanie wspólnoty rozwiniętych krajów jest celem mniej ambitnym niż stworzenie światowego rządu, to jest celem łatwiejszym do osiągnięcia. To koncepcja bardziej ambitna od Wspólnoty Atlantyckiej i historycznie ważniejsza w świetle nowej rewolucji czyniącej świat jedną wspólną przestrzenią [w oryg. „new spatial revolution” – przyp. JK]. [...]*

*Historyczne znaczenie amerykańskich przemian wewnętrznych jest bardzo bliskie rozumieniu właściwej roli Ameryki w świecie. W niniejszej książce zredukowałem wewnątrzamerykańskie priorytety do trzech dużych obszarów: potrzeby takiego instytucjonalnego przekształcenia amerykańskiej demokracji, by uaktywnić społeczeństwo i zamazać tradycyjne rozróżnienie między rządowymi i pozarządowymi działaniami społecznymi; potrzeby zbudowania instytucji, które będą w stanie przewidująco radzić sobie z niechcianymi konsekwencjami rozwoju technicznego i naukowego; potrzeby wprowadzenia reform, które będą w stanie przeciwdziałać konfliktom międzypokoleniowym i rasowym, i będą promować humanistyczne wartości rodzącego się nowego społeczeństwa.*

*Międzynarodowe odpowiedniki naszych krajowych potrzeb są podobne: stopniowe kształtowanie wspólnoty krajów rozwiniętych powinno być praktycznym wyrazem naszej rodzącej się globalnej świadomości; takie skupienie się na szerzeniu naukowej i technicznej wiedzy, by przydać mu skuteczności w radzeniu sobie z problemami człowieka, podkreślając wagę ekologii, a nie ideologii; te dwa wymienione zadania powinny sprzyjać szerzeniu bardziej spersonalizowanego, racjonalistycznego i humanistycznego światopoglądu, by stopniowo zastąpić zinstytucjonalizowane perspektywy religijne, ideologiczne i zdecydowanie nacjonalistyczne, które zdominowały nowożytną historię.*

---

<sup>1</sup> W pracy z roku 2019 pt. *The Architecture of Power: Patterns of Disruption and Stability in the Global Ownership Network*, Glattfelder i Battiston odnotowali niezwykle wzrost znaczenia funduszu powierniczego BlackRock (i zarazem dramatyczny spadek znaczenia brytyjskiego banku Barclay's), który był konsekwencją kryzysu finansowego w latach 2007 – 2009; p. też Marek Chlebuś, *Lęk przyszłości*. [przypis dodany 23.09.2021]

Natomiast w roku 2001 Denis Healey tak mówił Jonowi Ronsonowi:

*Przesadą byłoby powiedzieć, że zmierzamy ku światowemu rządowi, ale nie było to zupełnie pozbawione racji. My z Bilderberga poczuliśmy, że nie możemy trwać w walce jeden przeciwko drugiemu o nic, zabijaniu ludzi i czynieniu milionów bezdomnymi. Poczuliśmy zatem, że dobrą rzeczą byłaby jedna ludzka wspólnota łącząca cały świat.*

*[...] Bilderberg to sposób na spotkanie się polityków, przemysłowców, finansistów, dziennikarzy. W politykę powinni być zaangażowani ludzie, którzy nie są politykami. Staramy się przyciągać polityków młodszego pokolenia, którzy są na drodze do awansu, by spotkali się z finansistami i przemysłowcami zdolnymi służyć im mądrą radą. To zwiększa szansę na wypracowanie rozsądnej, globalnej strategii politycznej.*

Globalna strategia, którą proponują wymienione środowiska, wymaga nowego spojrzenia na człowieka – ma to być obywatel świata, dobrze dopasowany trybik w wielkiej globalnej maszynie. Taki trybik może być biernym proletariuszem albo świadomym współbudowniczym nowego ładu. Rządzący oligarchowie – ci prawdziwie rządzący, mający do pomocy rządy państw – w ogromnej większości nie mają w zasadzie nic przeciwko religii i rodzinie, życiu ludzi w lokalnych wspólnotach, np. parafialnych albo jeszcze mniejszych, byleby ta religia, rodzina, życie w lokalnej wspólnocie nie zagrażały budowie ładu ogólniejszego, w zamierzeniu globalnego. Tu jednak rodzi się problem nie do rozwiązania. Zostanie obywatelem świata wymaga specjalnego przygotowania – wymaga wychowania do bycia takim obywatelem, wymaga właściwej edukacji. A ta edukacja nie może kultywować niczego co lokalne, co buduje godziwe życie konkretnych osób, żyjących w konkretnym miejscu i w konkretnym czasie. Obywatel świata nie może być prawdziwym chrześcijaninem, czy żydem, czy muzułmaninem, w kraju swego urodzenia nie powinien widzieć ojczyzny, z którą miałby się czuć szczególnie związany. I dlatego oligarcha musi zgodzić się na takie programy szkolne oraz uniwersyteckie, które będą kształcić owych obywateli świata. Najlepiej, gdy szkolnictwo podstawowe i średnie ma centralnie ustalone i przez państwo zatwierdzone programy, i szkoły działają pod państwowym nadzorem. Oligarcha ma do pomocy ONZ z jego rezolucjami (jak agenda 2030), które zawierają różne lewackie programy, i ma własne fundacje, które łożą na tworzenie odpowiednich programów i właściwą edukację.

Niestety ten stan rzeczy otwiera drogę do najwyższych stanowisk w państwie takim nieprzejednanym wrogom chrześcijaństwa jak Barack Obama i Hillary Clinton, czy lewicowcom jak Kamala Harris (gdy o tę pierwszą dwójkę chodzi, p. P. Schlafly i G. Neumayr, *No Higher Power: Obama's War on Religious Freedom*, 2012). I jasne jest też, że wśród oligarchów są i tacy, którzy są zagorzałymi wrogami wszystkiego co tradycyjne i łożą pieniądze, by to wszystko było niszczone – jak np. George Soros.

*Nota bene*, papież Franciszek stara się rozwiązać wymienioną kwadraturę koła, ale tym sposobem sprawia, że jego encykliki mają w sobie zbyt wiele z rezolucji ONZ i nie służą Kościołowi.

Jeszcze na początku XXI wieku, duża część amerykańskiego establishmentu politycznego opowiadała się za światem jednobiegunowym z USA w roli „łagodnego hegemonu”. Dziś zakłada się, że świat ma się stać jedno-wielobiegunowy, ma trwać budowa regionów z regionalnymi mocarstwami kontrolującymi te regiony, ale zarazem potrzebne jest usankcjonowanie się centrum zapewniającego spójną realizację celów globalnych. Unia Europejska, mówiono o tym np. na spotkaniach BM, zdaje się zmierzać w stronę osłabienia państw i wzrostu roli innych, niepaństwowych podmiotów, np. regionów obejmujących części

więcej niż jednego państwa, byle spójnych pod względem gospodarczym; p. prognozy Ministerstwa Obrony Zjednoczonego Królestwa:

[https://assets.publishing.service.gov.uk/government/uploads/system/uploads/attachment\\_data/file/771309/Global Strategic Trends - The Future Starts Today.pdf](https://assets.publishing.service.gov.uk/government/uploads/system/uploads/attachment_data/file/771309/Global_Strategic_Trends_-_The_Future_Starts_Today.pdf)

Kadry zajmujące się sprawami międzynarodowymi w administracji USA są od dekad przygotowywane do realizacji globalnie zorientowanych strategii. Donald Trump okazał się nie tylko człowiekiem „spoza towarzystwa” – to było oczywiste od początku – ale także krnąbrnym i niereformowalnym. Administracja była tedy „zmuszona” torpedować jego decyzje, Kongres i media pomawiać o wszystko co najgorsze, zaczynając od wydumanych oskarżeń, które miały go postawić przed Senatem w roli podsądnego. I jakby tego było mało, Trump bywał zaskakiwany atakami ze strony osób piastujących nawet najwyższe stanowiska w jego(?) administracji.

Tymczasem, w trakcie prezydentury Trumpa – dziś zapewne dobiegającej końca – była sekretarz stanu Hillary Clinton i były wiceprezydent Joe Biden wyrażali nadzieję, że wróćą dobre (według słów Bidena „normalne”) czasy i administracja „będzie miała z kim rozmawiać” oraz współpracować.

Na marginesie: Gdy Hillary Clinton ubiegała się o prezydenturę w 2016 roku, zespół witryny internetowej (kiedyś gazety) *The Hill* wyliczył, że 95% sumy wszystkich dotacji poczynionych przez urzędników federalnych na kandydatów na prezydenta poszło na rzecz Hillary Clinton (w Departamencie Stanu 99%, w Departamencie Edukacji 99,7% - w tym drugim przypadku 3 osoby przeznaczyły razem 220\$ na kampanię Trumpa, 724 osoby przeznaczyły ponad 74 000\$ na kampanię Clinton).

W kontekście tego co już zostało powiedziane, nie należy się dziwić, że media ogłosiły koniec prezydentury Donalda Trumpa, mimo że jeszcze nie jest to pewne (jakkolwiek bardzo prawdopodobne), ekipa Joe Bidena chciała już zacząć lokować się w prezydenckich biurach, a np. *Foreign Affairs* publikuje eseje, jak ma wyglądać polityka zagraniczna USA po Trumpie.

Podsumowując: Nie ma racji bytu twierdzenie o istnieniu jakiegoś spisku w elitach władzy USA, ale trafne jest przydanie części urzędników federalnych odpowiedzialnych za sprawy międzynarodowe przydomka Deep State, zaś takim organizacjom jak CFR, TC i BM przydomka Deep State behind the Deep State. (Swoją drogą, czy desygnowanie na prezydenta amerykańskiego mocarstwa bezbarwnego nieledwie starca, Joe Bidena, nie jest najlepszą odpowiedzią na pytanie o to, w czyich rękach spoczywa rzeczywista władza?)

P.S. Nie trzeba chyba specjalnie zaznaczać, że naszkicowany obraz narysowany został grubymi kreskami – z historycznej perspektywy przedstawia dalekosiężny cel. Ale historia staje się co dzień, występujący na światowej scenie aktorzy – od największych do najmniejszych – ją stale tworzą, bieżąca polityka obfituje w zaplanowane i nieoczekiwane zwroty. Aktorzy nie są pionkami, którymi oligarchowie mogą swobodnie grać. Oligarchowie są reżyserami, ale w spektaklu, w którym aktorzy wpływają na bieg spektaklu i najwięksi z tych aktorów mogą nawet aspirować do oligarchicznej roli. Wśród oligarchii i jej doradców ścierają się różne koncepcje. O tym wszystkim nie ma w tym szkicu ani słowa. Taki szczegółowy obraz potrafią kreślić politolodzy.

P.P.S. Niniejszy tekst dotyczy głównie Ameryki. Nie od rzeczy będzie więc nadmienić, że w ciągu ostatnich dekad społeczeństwo amerykańskie uległo rozpadowi na jakby dwa kraje – pierwszy, obejmujący dorzecze Missisipi z Teksasem i częścią Południa na wschód od Teksasu,

oraz drugi, obejmujący pozostałe stany USA. Pierwszy zamieszkały w większości przez nieuleczalny ciemnogród (*irredeemable deplorables* według Hillary Clinton) i drugi, którego większość nie odwołuje się już do Tradycji.

P.P.P.S. A co można powiedzieć o tym, jak jest widziana Polska np. przez wspomniany *Foreign Affairs*? Gdy przed państwami Układu Warszawskiego otwierały się w roku 1989 całkowicie nowe perspektywy, pożądany kształt tych perspektyw był zupełnie inaczej widziany przez UE – czytaj Niemcy i Francję – oraz USA. Francja i Niemcy były jednocześnie prorosyjskie oraz chciały wzmocnienia Unii, ekonomicznie wspomagając samą Rosję oraz kraje będące do 1989 roku jej wasalami czy quasi-koloniami. Ekonomiczna współpraca wewnątrz Układu Warszawskiego miała trwać nadal, kraje bloku wschodniego miały się rozwijać, dzięki pomocy ze strony UE coraz silniej wiążąc się gospodarczo z Zachodem (głównym zwolennikiem takiego rozwiązania był bliski doradca kanclerza Helmuta Kohla, prezydent Deutsche Banku, Alfred Herrhausen, który 30 listopada 1989 r. zginął w zamachu bombowym). W tamtym okresie stara Unia nie miała w planach deindustrializacji Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polski. Był to plan doskonale niezgodny z amerykańskimi planami wobec Europy. USA chciały pozostać hegemonem w Europie Zachodniej i nie chciały wzrostu jej znaczenia na geopolitycznej mapie świata. Amerykanie chcieli rozszerzenia NATO na wschód, ale ich koncepcja wykluczała niestety spojrzenie na państwa Grupy Wyszehradzkiej (Polskę, Węgry i Czechosłowację, a później Czechy i Słowację) jako na podmiot gospodarczy wspomagany przez Zachód w skoordynowany i całościowy sposób.

Ameryka była przeciwna przejmowaniu władzy w krajach Grupy Wyszehradzkiej przez partie prawicowe, zgadzała się na rządy lewicy i centro-lewicy. Doskonale opisała to wówczas w *Foreign Affairs* (nr z listopada/grudnia 1994) Anne Applebaum. Na łamach dwumiesięcznika mogła się wtedy ukazać krytyka stanowiska amerykańskiej administracji wobec Europy Środkowo-Wschodniej. Applebaum przypisywała źródła amerykańskiej polityki wobec wymienionych krajów nieufności wobec partii, które rzekomo mogły nawiązać do złych nacjonalistycznych (właściwie nacjonalitarystycznych) tradycji sprzed II wojny światowej. Applebaum uważała te obawy za nieuzasadnione, słusznie twierdząc, iż prawicą kierował patriotyzm, nie chory nacjonalizm.

Dziś wiemy, że amerykańskiemu establishmentowi nie stoi kością w gardle jakiś zły nacjonalizm (nacjonalitaryzm) Polaków czy Węgrów – obecnie potępiany jako populizm i autorytaryzm – lecz patriotyzm. Pielęgnowanie narodowej tożsamości – i w jej ramach, przynajmniej w Polsce ciągle jeszcze żywej katolickiej tradycji – kłóci się z postulowanym ponadnarodowym, globalnym ładem. Stąd dziś powtarzające się w *Foreign Affairs* oskarżenia Orbana i Kaczyńskiego o wspomniany populizm i autorytaryzm, zawsze niesprawiedliwe, a zdarza się, że niewolne od tez niedorzecznych.

9 listopada 2020